

Kaukaz - 2012

Późnym latem zabrałem kolegę na Kaukaz i podążyliśmy szlakiem wyznaczonym przeze mnie w ubiegłym (2011) roku.

Error

Po przejechaniu wyboistymi traktami kilkuset kilometrów wielki Land Cruiser zaniemógł w niedzielny wieczór na stacji benzynowej nieopodal Tbilisi. Spod maski zaczęła łać się ciemna ciecz. „Koniec podróży” – wyjąkał kolega. Faktycznie okazało się, że skrzynia biegów nie działa należycie. Sytuacja nefajna: mechanik, który zna wehikuł, jest





oddalony od nas ponad 4 tys.km, zbliża się zmrok, a dwie nasze dziewczyny, w tym żona kolegi, którą romantyczną podróżą po Kaukazie chciał przekonać do wspaniałego podróżowania, unieruchomione zostały na obłej stacji benzynowej wśród zarośniętych Panów Gruzinów. Dobry aspekt tego wszystkiego to fakt, że jesteśmy na przedmieściach Tbilisi, a nie w odległej Tuszetii i kilkadziesiąt kilometrów od nas jest serwis Toyoty. Ale co to pomoże, skoro wiemy jak działa serwis Toyoty w Polsce i pewnie nie działa on inaczej w Gruzji: Najpierw przychodzi smutny frajer w garniturze i odbiera kluczyki ustalając termin zagładnięcia pod maską za kilka dni. Następnie po tygodniu wykonuje owy urzędnik telefon do właściciela i przekazuje wspaniałego newsa, że warsztat odkrył usterkę, że trzeba wymienić to i owo i prosi o potwierdzenie, czy ze-psutą część sprowadzać. Po kolejnych dwóch-czterech tygodniach kurier przywozi do warsztatu nową część, która jest montowana, a właściciel otrzymuje słony rachunek. Co zrobić jednak, gdy eskapadę chcemy kontynuować na-za-jutrz, a za tydzień nasi kierowcy mają odwieźć wehiku-

ły do kraju? Gdy staliśmy bezradni nad otwartą maską wehikułu kolegi, pojawił się nagle zarośnięty i umorusany smarem Pan Gruzin twierdząc, że jest pracownikiem stacji benzynowej, na której utknęliśmy i zajmuje tam wymianę oleju i opon. Szybko zagląda pod maskę, wczolguje się pod samochód kolegi i proponuje, by podjechać na kanał. Po chwili pojawia się jeszcze kilku zarośniętych i umorusanych smarem Panów Gruzinów, dwóch wchodzi pod samochód, reszta komentuje poczynania dwóch zuchów. Po godzinie okazuje się, że trzeba ściągnąć osłonę silnika. Chłopaki nie mają właściwych kluczy. Te znajdujemy jednak w naszych samochodach i pożyczamy sprzęt Panom Gruzinom. Po kolejnej godzinie padają dwa wyroki: jeden brzmi: „dziura w chłodnicy”. Klniemy pod nosem. Za chwilę zostaje on skorygowany: „pęknięty przewód olejowy”. Dziewczyny, którym kolega obiecał luksusowy hotel w winnicy z pierwszorzędną restauracją, wypady w urokliwe dolinki, kawkę nad strumyczkiem, romantyczną przejażdżkę przez dziewicze tereny, zaczynają się niecierpliwić. Wysyłamy je taksówką prowadzoną przez zarośniętego Pana Gruzina do hotelu w Tbilisi.









Teraz szybko: chłopaki ściągają przewód, pokazują nam jego uszkodzoną część, którą zaraz amputują. Po kilku minutach znajdują kawałek metalowej rurki, który umieszczają w przewodzie i próbują go przymocować do gumowej rurki. Problem jednak w tym, że nie mają właściwych zacisków. Chodzą po maleńkim warsztacie i szukają w brudnych szufladach. Jedną znajdują gdzieś na dnie biurka, drugą odkręcają od czynnego kompresora na stacji benzynowej twierdząc, że oni sobie poradzą, a my musimy jechać. Po kilkunastu minutach przewód jest zamocowany, osłona przykręcona, znajduje się gdzieś 5 litrów oleju. Jedziemy na wspaniałą kolację i na wyśmienite wino do Tbilisi. Za całą akcję płacimy symboliczne honorarium i sowity napiwek.

Przypominam sobie, jak w moim samochodzie osobowym, którego używam, na co dzień, spalił mi się bezpiecznik i nie chcąc się wysilać, podjechałem kiedyś pod salon Volkswagena. Bezczelny obibok w krawacie powiedział, że muszę zostawić samochód na dwa dni i że najwcześ-









śniej następnego dnia wymienią bezpiecznik. W XXI wieku z małych, nieznaczących usług robi się wielkie wydarzenia, ludziom zatruwa się życie. Serwisy samochodowe producentów samochodów z każdego przeglądu robią spektakl. Na szczęście są na całym świecie serwisy samochodowe prowadzone przez ludzi z jajami. Jaj brak na pewno, o czym przekonałem się sam, facetom w Audi, Volkswagencie, Toyocie. Z pewnością w warsztatach innych producentów nie jest inaczej.

Przełęcz

Dziewczyny miały obiecaną sielankę, romantyczny wyjazd. Aby im dać trochę wytchnienia po wrażeniach z ławeczki na brudnym gruzińskim cepeenie, zabraliśmy je do winnicy: była wyśmienita kuchnia, wykwintne wino, wygodne pokoje. Nazajutrz nakazałem wszystkim ubrać sportowe buty i skierowaliśmy wehikuły w kierunku Tuszetii. Po kilku kilometrach serpentyn, na gruntowej, kamiennej,

wąskiej drodze, na stromym podejździe jedna z dziewczyn zarządziła, że musimy zawrócić. Faktycznie droga była niełatwa, ekspozycja ogromna, brak zabezpieczeń, wjeżdżaliśmy właśnie w dzdżystego stratusa, a przed nami jeszcze około 40km serpentyn w górę i potem ok. 40 km równie trudnych serpentyn w dół. Kurtuazja wymagała, by posłuchać damy i narażając się na niebezpieczeństwo zawrócić w wąskim i trudnym miejscu. Po kilku kilometrach powrotnego zjazdu, zatrzymałem się na polance i wytłumaczyłem: ja już tą drogę kiedyś przemierzyłem samochodem, kolega jeździ po ukraińskich wertepach w o wiele trudniejszych warunkach, samochody są sprawne. Nie pomogło. Bardzo chciałem odwiedzić Tuszetę, bo to kraina magiczna.

Zaproponowałem, by wystraszonej ekspozycją dziewczynie założyć worek na głowę, alternatywnie chciałem skierować ją w dół, by w otoczeniu nieogolonych Panów









Gruzinów poczekała na nas kilka dni. Skończyło się na tym, że zapakowaliśmy ją do części bagażowej samochodu kolegi i kontynuowaliśmy podróż w góry. Nie wnikałem w to, czy kolega zakneblował żonie usta (ja proponowałem przywiązać ją, by mu nie przeszkadzała i by założyć jej worek na głowę, by nic nie widziała). Jedno jest pewne: dołączyła do dość licznej już gromadki kobiet moich kolegów, które chcą mnie zgładzić i otwarcie o tym mówią. Kolega natomiast dołączył do ekskluzywnej grupy moich kumpli, których kobiety mnie nienawidzą. Po zjechaniu z przełęczy okazało się, że żona kolegi nie jest już taka bardzo zła na mnie, po kilku dniach spędzonych na nizinach śmialiśmy się wszyscy z epizodów na drodze śmierci. Paniczny strach ... przed waniem rtęci lub arszeniku do kawy przez łaskę kolegi pozostanie jednak u mnie na zawsze.



Strzał z flinty

Gdy dotarliśmy do magicznej Tuszetii, okazało się, że właściciel kwaterki, którą znaleźliśmy w malowniczej dolinie, urządza wieczorem imprezkę. My czekając na kolację i odreagowując stresującą przeprawę przez przełęcz wyższą od Tatr, zapaliliśmy ognisko, wychyliliśmy pozostałe w samochodach koniaki, piwa i zagryzaliśmy je ochoczo najlepszymi pod słońcem kabanosami.





Gdy słońce schowało się za wieżami Omalo, gospodarz zaprosił nas na imprezkę. Wręczyliśmy mu w prezencie białoczerwony szalik i weszliśmy do izby, w której przy długim stole siedział już tuzin brodatych Panów Gruzinów, patrzących spode łba na nas i na kobiety nam towarzyszące.

W Gruzji nie pije się alkoholu ot tak. W Gruzji wznosi się toasty. To przy ich okazji, na stojąco, spożywa się spore ilości alkoholu: wina, samogonu.

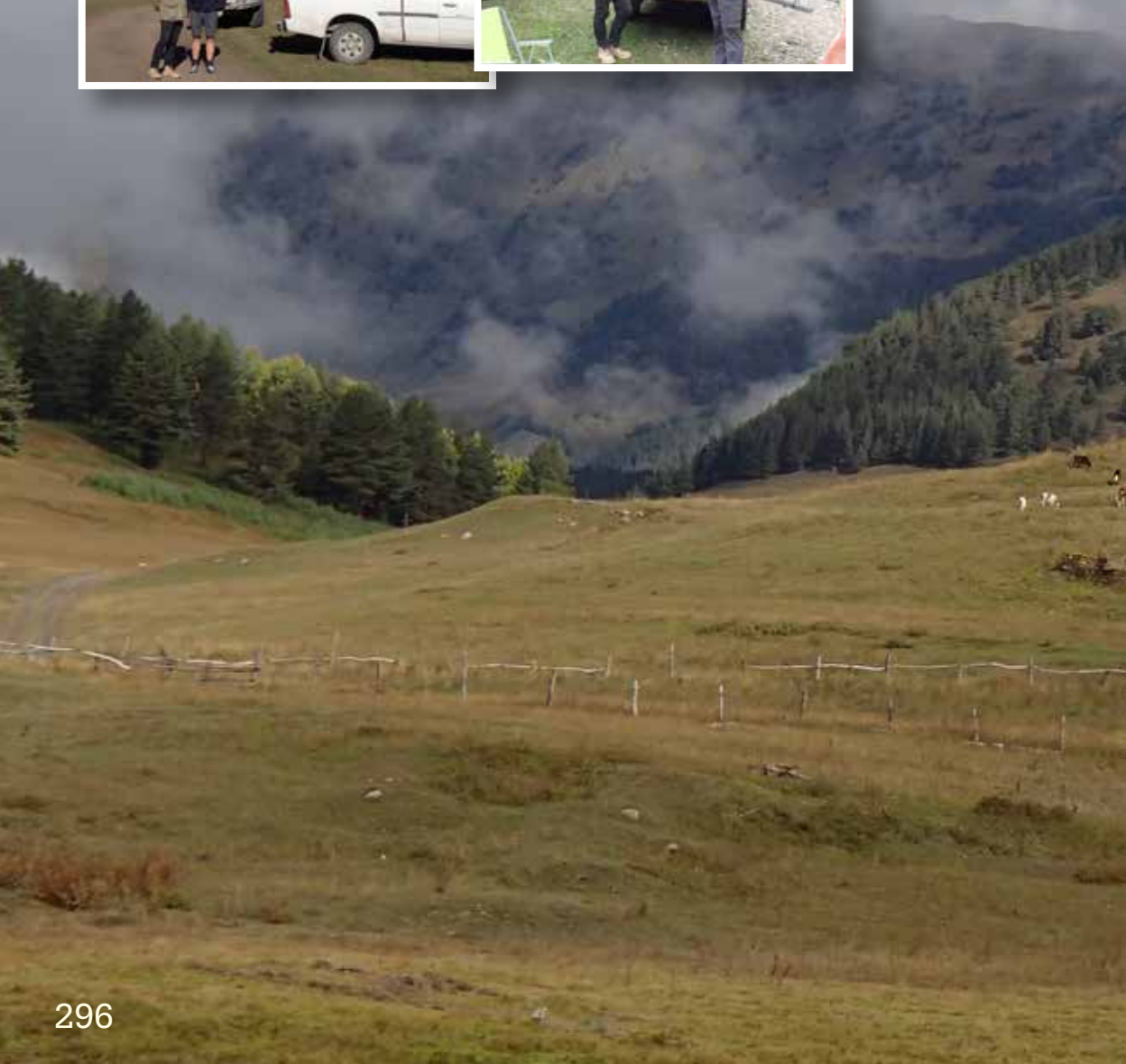
Wybrany demokratycznie wodzirej opowiadał przy pierwszym toaście o okazji, która zgromadziła wszystkich przy stole. Potem wznosiliśmy kielichy za rodziców, przyjaciół, ojczyznę, przodków, miłość. Toasty w Gruzji to popis oratorstwa. Poetyckie toasty zajmują kilka lub nawet kilkanaście minut. Najważniejsze i najdłuższe toasty wznosiliśmy za gierojów, którzy polegli w walce z Dagestańcami i Czeczeńcami. Wszak Tuszetia wtulona jest w dolinkach między Dagestanem a Czeczenią.

Jedyne obecne na imprezce dziewczyny, dwie wyzwolone, niezależne kobiety, wychowane na Cosmopolitanie, śledzące regularnie wpisy na Republice Kobiet, pozbawione zostały prawa wznoszenia toastów i wstawania przy



okazji tego rytuału. Podczas gdy my z zarośniętymi Panami Gruzinami wypijaliśmy kolejne litry wina z rogów różnych zwierzaków, one cicho siedziały. Po imprezce my padliśmy odurzeni alkoholem i zadowoleni z siebie, a o poranku dowiedzieliśmy się, że laski nie zmrużyły oka ze strachu. Od







świtu wszyscy skacowani uczestnicy biesiady zaczęli wypelzać na polankę, na której siedział sobie na drewnianej ławeczce najstarszy Pan Gruzin. Rozmawiając z gośćmi, co kilka minut ładował flintę i strzelał na ślepo w las. Gdy mu się z daleka przyglądałem, zaprosił i mnie do oddania rytualnego strzału pytając o samopoczucie i o ból głowy. Brodatemu Panu Gruzinowi nie odmawia się. Kilka godzin później z lasu, do którego strzelaliśmy na oślep, wyszła grupka turystów.

